Nr. 40. We Lwowie dnia 7. października 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Bronisław Koraszewski.

(SYLWETKA SZLĄSKA)*).

Bronisław Koraszewski, to młody jeszcze pracownik na niwie pracy publicznej, a jednak już położył około przyszłości naszej niespożyte zasługi. Szlachcic z urodzenia, stał się apostołem chłopów. Dwie zwłaszcza cechy wybitne charakteru jego usposabiają go doskonale do tego tak trudnego, a ciernistego zawodu; głęboka miłość ludu i wytrwałość niezłomna. Kocha on lud nietylko platonicznie, nietylko w myśl zasad demokratycznych, które wyznaje, ale praktycznie w całem tego słowa znaczeniu; żyje on nietylko dla ludu, ale i z ludem, bierze żywy udział w codziennych jego troskach i cierpieniach, jest mu przyjacielem, doradzcą, co więcej bratem prawdziwym, nie zapominając i o tem, że na tem stanowisku, jakie zajmuje, równocześnie powinien być jego przewodnikiem i nauczycielem. Życie jego, jak życie każdego prawdziwego i szczerego trybuna ludowego, szło i idzie ciernistą drogą, ale z drugiej znów strony nie poskąpiło mu i bujnych owoców, które każą mu zapomnieć o cierniach i głogach.

Wielce charakterystycznem dla osoby i działalności Koraszewskiego było zdanie, jakie do jednego z wybitniejszych mężów górnoszląskich wypowiedział czasu swego pewien radca rejencyjny z Opola. Pan ten, także szlachcic urodzony, dbały wielce o godne reprezentowanie uprzywilejowanego pochodzenia, zapytany przez owego męża, co też sądzi o przywódzcy ruchu polskiego w Opolu, skrzywił się niesmacznie i z pewnem lekceważeniem odpowiedział: *Eh! Der verkehrt nur mit Bauern, geht auf Bauernhochzeiten, hält dort Reden, und singt mit den Bauern!* Biedny pan radca nie przypuszczał widocznie, jak pochlebne świadectwo wystawił przez to »szlachcicowi-demokracie«! A pan radca powiedział prawdę. Bronisław Koraszewski jest nietylko redaktorem pisma ludowego, nietylko piórem walczy o prawa ludowe i broni dobra jego, ale działa więcej jeszcze żywem słowem i osobistym przykładem. Właśnie osobiste jego stosunki z ludem, jego bezpośrednie stykanie się z tymi, którym przewodzi, czynią pracę jego tak wydajną i najpomyślniejszemi rezultatami wieńczą wszelkie jego zabiegi.

Przybył on na Szląsk, jeśli się nie mylimy, w roku 1888, jako młody człowiek, pełen ochoty do pracy, zapału i wiary, i już po krótkim tamże pobycie założył z kilku obywatelami Polakami ze stanu średniego w Królewskiej Hucie pismo ludowe: »Głos ludu górnoszląskiego«. Pismo to, jakkolwiek doskonale redagowane, z braku funduszów u nakładców i dla tego, że założono je tuż pod bokiem starego i bardzo rozszerzonego w tych stronach »Katolika«, nie istniało atoli długo, a do upadku jego przyczynił się głównie proces prasowy, jaki wytoczono redaktorowi za zbyt śmiałe skrytykowanie jednego z nowszych, a dla ludu niekorzystnych praw niemieckich. Pismo upadło, a redaktor przecierpiał dwa tygodnie w więzieniu. Potem pracował przez czas pewien w red. »Katolika« w Bytomiu. Na tem stanowi-

*) Sylwetkę niniejszą powtarzamy za »Przeglądem Poznańskim«, który ją umieścił ex re bytności Bronisława Koraszewskiego w Poznaniu, dokąd ten przybył wraz z zastępem Górnoszlązaków dla zwiedzenia wystawy krajowej.

sku założył on wraz z redaktorem Napieralskim, — było to po strejku r. 1889, — Związek wzajemnej pomocy robotników górnoszląskich, który dziś liczy już tysiące członków i rozwijając się pomyślnie, stanowi punkt oparcia w walce polskiego ludu roboczego z kapitałem niemieckim. Ale i tam nie przebywał długo. Opatrzność do innego, ważniejszego powołała go zadania. Opolskie, okolica najrdzenniej polska z całego Górnego Szląska, nie posiadała jeszcze wówczas ani polskiego pisma, ani żadnego innego ogniska, około którego skupićby się mogły żywioły narodowe. Coraz też częściej odzywały się ztamtąd głosy walczącego o mowę swą i narodowość ludu o przewodnika. Koraszewski usłuchał we zwania tego i w październiku r. 1890 założył tamże »Gazetę Opolską«. Z tą chwilą nowe życie zakwitło w tym prastarym grodzie polskim. Niebawem za staraniem redaktora powstało »Towarzystwo polsko-katolickie«, które liczy dziś do czterystu członków, urządza odczyty, teatra amatorskie, pogadanki i zabawy i łączy w sobie wszystkie inteligentniejsze żywioły z miasta i oko licy. Oprócz tego założył Koraszewski w latach następnych może z dziesięć innych towarzystw ludowych w powiecie w dalszych nawet okolicach, a wszystkie opierają się głównie na jego pracy i jego poświęceniu. W niedzielę prawie nigdy nie można go zastać w domu, bo zwykle przebywa na zebraniach. Najświetniejszym czynem jego jest przeprowadzenie wyboru posła p. majora Szmuli. Gdy szląskie arystokratyczne stronnictwo centrum, nie mogąc darowac p. majorowi Szmuli, że tak energicznie w sejmie i poza sejmem przemawiał za historycznemi i językowemi prawami ludu polskiego na Szląsku, że zdemaskował hipokryzję niektórych wybitnych działaczy centrowych, gdy za te »winy« obaliło centrum kandydaturę p. Szmuli w Bytomskim okręgu i gdy zdawało się już, że lud górnoszląski straci tego najdzielniejszego ze wszystkich parlamentarnych obrońców swoich, dzielni Opolanie pod wodzą Koraszewskiego, ofiarowali mu mandat w okręgu wyborczym opolskim. I pan major przeciwko woli większości księży i całej zniemczonej inteligencji wyszedł zwycięsko z urny wyborczej, wprawdzie tylko kilku głosami wię kszości, lecz gdy wskutek różnych manewrów przeciwników wybór jego unieważniono, — wybrał go lud opolski po raz drugi i to taką większością, że już przeciwnikom jego odeszła wszelka ochota do założenia protestu.

Przy pomocy takich mężów z ludu, jak Baron, Kirszner, Liguda, przy pomocy kilku zacnych kapłanów, którzy mają odwagę płynąć przeciwko prądowi germanizacyjnemu, popieranemu nawet przez władzę duchowną, Koraszewski podniósł lud opolski, lud szląski do takiego poziomu dojrzałości politycznej i moralnej, że lud ten śmiało już każdej burzy spojrzeć może w oczy, bez troski o przyszłość.

Cześć ci, zacny pionierze miłości bratniej na kresach górnoszląskich! Niech praca twoja zawsze tak błogie wydaje owoce, jak wydawała dotychczas, pracuj dalej z równą zawsze wytrwałością, a w pracy tej i w walce niech cię krzepi zawsze ta myśl, że Wielkopolska cała spogląda z dumą i wdzięcznością na syna swego, który na pustyni zapomnienia i niedoli zdołał odszukać ginących już braci, i znów ich przywieść w objęcia macierzy. Cześć ci i chwała!!

. . . ki.

Królewicz Marko.

PIEŚŃ I.

(Ciąg dalszy).

Gdy ten carski ukaz słyszą Serby,
Wojewody, bany i żupany
Własteliny i drobne własteliczе —
Idą wszyscy na bój, na Kosowo.

A nie pomni nikt o prostym ludu,
O tych sebrach albo-li neropsach,
Nikt nie pomni o ludu wieśniaczym,
Co w bojarskiej wciąż jęczy niewoli.
Nikt nie woła ludu na Kosowo,
Choć on serbskiej krwi i pokolenia.
I przybyli tylko na Kosowo,
Arto Gławacz, tęgi chłop z zadrugi
I z Belgradu kowal — Iwo Kjitin.

Ale wszystka szlachta i żupany
Wyruszyli na bój, na Kosowo.
Naprzód stary wojewoda Jug Bogdan
I dziewięciu młodych Jugowiczów,
I Obylicz Miłosz wojewoda,
I Toplica i Relja skrzydlaty,
Stefan Musicz i Kosanczyc Iwan,
Wuk Brankowicz i Piotr Braniczewiec,
Iwan Żiwko, Banowicz Strachinia,
I waleczny Serdżja Złopogledżja.

Byli także obce paladyny,
Był od Węgrów Janko Sybinianin,
Z Czech był Zabój, a z lechickiej ziemi
Mężny Kirkor był i Walgierz Wdały.
Był od franków Roland niezwalczony,
Od hiszpanów był Cyd Campeador.
Był rakuski Zygmunt Luksemburczyk
I królewicz duński Hamlet smutny.

Tylko niemasz ci tu na Kosowie,
Tylko niemasz — ach, biada ci Serbjo!
Niemasz tutaj królewicza Marka!

Marko służy turkom bisurmanom,
Sułtanowi jest wiernym junakiem,
Serbskim mieczem, serbski naród zwalcza,
I w niewolę oddaje turecką!
Wie to Łazar i smuci się srodze,
Bo wyczytał w księgach carostawnych,
Że już czasy nadchodzą ostatnie
I że serbskie ma zaginąć carstwo.
Bo i czemże są wszystkie żupany,
Kromie dłoni wieśniaczego ludu?
Bo i czemże są wszyscy rycerze
Kromie szabli królewicza Marka?

Oto nadszedł straszny dzień Witowy.
Stawił Łazar cerkiew na Kosowie,
I uprosił trzystu popów siwych
I dwunastu wielebnych władyków
I serbskiego wezwał patrjarchę,
Aby na śmierć Serbów spowiadali.

Zabłysnęła zorza purpurowa —
I rycerzy zbudziła do boju.
Na szerokiem polu, na Kosowem,
Po dwie strony chłodnych fal Sitnicy,
Jako śniegi lub stado łabędzi,
Tak bieleją namioty bojowe,
Tutaj serbskie, a tam znów tureckie.

Zahuczała trąba uroczysta.
Na bój wyszły dwa potężne wojska:
Z prawej strony turki bisurmany,
Z lewej strony Serby chrześcijany.
Było Serbów równo sto tysięcy,
Było turków dwakroć sto tysięcy.
Od białego dnia do nocy czarnej
Trwała bitwa, jakiej świat nie widział.
Póki bitwy ludów świat pamięta —
Takiej bitwy na świecie nie było.
Koń przy koniu, junak przy junaku
Falą straszną — jako bór głęboki,
Falą straszną — jako morze sine,
Falą straszną — jako dusza ludu
Co na czarne idzie zatracenie —
Tak szli serby pod carem Łazarem,
Szli na wroga turka bisurmana.

Tętni ziemia, groźnie rżą rumaki,
Bojowemi hymny grzmią junaki,
Świszczą łuki, huczą buzdygany,
Miecz kowany bije w miecz kowany
Tarcza z tarczą, oręże z orężem,
Koń się z koniem, mąż się mierzy z mężem,
Zewsząd wrzawa, huk, żelaza szczęki,
Zewsząd słychać klątwy rannych, jęki,
I żałobne modlitewne dźwięki.
Ale wciąż błyskają sine miecze,
Kole włócznia, krzywa szabla siecze,
A czerwona krew strumieniem ciecze.
Póki słońca — nie ustał bój srogi
Upadają — wrogi i nie wrogi —
Jako jedna martwa tłuszcza zbita,
Rannych depczą rumaków kopyta.
Oto kończy się straszny dzień Wita.

Od białego dnia do nocy czarnej,
Trwała bitwa, jakiej świat nie widział,
Wielka bitwa na Kosowem polu,
Połamano włóczni tam bez liku
Równo serbskich, jako i tureckich,
Ale serbskich więcej, niż tureckich.
I junaków padło tam bez liku,
Równo serbskich, jako i tureckich,
Ale serbskich więcej, niż tureckich.
Turków jeszcze garstka pozostała,
Ale z Serbów żaden nie ocalał.
Wszyscy padli na Kosowem polu
Za ojczyznę i za wiarę świętą.
I polegli tu oba carowie
Serbski Łazar i Sułtan Amurat,
Lecz Amurat zwyciężył Łazara
Z wolą Boga — chwała jemu wieczna! —
Z wolą Boga — co włada na niebie —
Bo nadeszły już czasy ostatnie,
Serbskie carstwo padło w dzień Witowy,
Padło w jarzmo turka-bisurmana.

(C. d. n.). *A. Lange*

KRYZYS.

(Studjum z natury).

(Ciąg dalszy.)

— A Gruszczyński - zawsze po staremu na czwartaku?

— Po staremu — ziewnął Bolek.

— I Dziorobek z nim razem.

— I Dziorobek...

Rozbierając się w hotelu, Kalinowski jeszcze parę myśli, już bardzo zresztą zamglonych, poświęcił przemianie, którą znalazł w Bolku. Nie umiał się w tem dobrze połapać zwłaszcza, że narazie sen kleił mu powieki.

— ...Konie, mieszkanie i sześć tysięcy — szeptał w pół-przytomnie... a świnia Pień... głupi Pień...

Zasnął jednak z uczuciem przyjemnem, z myślą, że jutro ugada się rozkosznie na czwartaku z Gruszczyńskim.

III.

Czwartak przy zbiegu Aleji i Brackiej obfitował zawsze w artystów i wogóle inteligentnych lokatorów.

Apartament zjednoczony pod NN. 34—35 - 36 zajmowali obecnie dwaj przyjaciele: Gruszczyński muzyk i Dziorobek rzeźbiarz. Właściwie nie byli to ściśle mówiąc przyjaciele. Wspólność mieszkania nie wytworzyła między nimi tych rubasznych nieco stosunków, które cechują przyjaźń nawet najwytworniejszą. Owszem — Dziorobek i Gruszczyński zachowali względem siebie pewną niezmiernie wygodną obcość i żyli w jakiejś symbiozie własnego wynalazku bardzo nietrywialnej i ogromnie »moderne«.

Korzystali w miarę z neutralnego pokoju i w porę wynosili się każdy do swego gabinetu: Dziorobek na lewo do nieopalanej dziury rzeźbiarskiej, Gruszczyński zaś na prawo do pokoju, który miał powierzchowność nieco zagadkową.

O każdym pojedyńczo wziętym sprzęcie tego pokoju łatwo było wydać opinję — zbiór ich jednak zdawał się być niezrozumiałym paradoksem. Pod ścianą wśród stosów nut, leżących na podłodze, stało pianino. Przy weneckiem oknie długi, jakby prosekcyjny stół dźwigał formalnie stogi papierów rozsypanych, powiązanych sznurkami, ujętych w teki itd. Jednocześnie zaś wśród tego chaosu bibuły sterczały sprzęty chemicznego przeznaczenia: kolby, retorty i stał sieroco zakurzony mikroskop. Pod inną znów ścianą stały legjony statuetek, biustów niedokończonych, leżały wielkie kartony i płótna, sztalugi i wreszcie mieściła się bibljoteka.

Trudno byłoby usprawiedliwić tytuł muzyka, który dawano w swoim czasie Gruszczyńskiemu Muzyk istotnie zamierzał niegdyś zreformować muzykę wagnerowską i napisał dwie pasterki w stylu XVIII wieku. Niemniej jednak wydrukował był szereg artykułów z zakresu literatury, przyrodoznawstwa, socjologji i matematyki, a także dużo czasu poświęcił malarstwu. Owocem prac malarskich była kompozycja p. t. »Chopin«. Był to obraz, przedstawiający twarz Chopina taką, »jaką powinna była być, sądząc z nastroju jego utworów«. Tak swój obraz charakteryzował sam Gruszczyński. Sam Gruszczyński nie uważał siebie za specjalistę w żadnym z uprawianych kierunków. Po prostu twierdził, że »szuka nowych dróg« i że interesuje go właściwie synteza życia. Co zaś do sztuki mawiał, że nie przestając być indywidualną, stanie się w przyszłości symfoniczną.

Z Kalinowskim poznali się przed trzema laty w okolicznościach dość zwykłych. Mianowicie, jedna z osobistych przyjaciółek postępu, których nie brak w Warszawie, zapragnęła nagle »stworzyć ognisko dla młodych sił literackich, artystycznych i naukowych«. Gruszczyński z tytułu licznych swych uzdolnień, odrazu powołanym został do rozdmuchiwania ogniska; Kalinowski trafił tamże, ponieważ młodsza siostra postępowej panny, uznała go za młodą siłę... Nastąpiły jeden po drugim trzy przyjęcia, na których obgadywano w zasadzie kwestję odrodzenia myśli. Odnośny referat wypracowała panna, herbatą i serdelkami zajęła się jej siostra i wszystkie wogóle »młode siły«. Uznano potrzebę i poniekąd nagłość potrzeby »porozumiewania się« — poczem też przyjęcia bezpośrednio zostały przerwane, gdyż przyjaciółka postępu powzięła nagły zamiar wyjazdu do Szwecji, celem uczenia się gimnastyki. — Kilkakrotnie jeszcze spotykał Kalinowski Gruszczyńskiego w podobnych okolicznościach. Czuł zawsze zrozumiały pociąg do muzyka, oddającego się rzeźbiarstwu, ponieważ sam będąc prawnikiem, studjował impresjonizm i dekadentyzm. Zresztą towarzystwo Gruszczyńskiego istotnie dawało dużo rozkoszy. Stosownie do zmiany swych fachów, chadzał Gruszczyński w coraz to nowem otoczeniu: literatów, malarzy, przyjaciółek postępu itd. Byli to zaś zawsze najniezależniejsi przedstawiciele impresjonizmu, dekadentyzmu, symbolizmu — pełni koncepcji i niedokończonych poematów. W jednej tylko z przemian muzyka, Kalinowski nie brał bliższego udziału. Była to mianowicie chwila, kiedy Gruszczyński pisał apologję sportów i kiedy sprawiwszy sobie biały w czarne pasy kostjum, zorganizował lawn-tenis'a. Kalinowski nie należał do tego raz, że był demokratą, powtóre, że nie miał pieniędzy na sprawienie kostjumu...

Była godzina dwunasta, kiedy Kalinowski po parokrotnem pukaniu, bez odpowiedzi wszedł do zjednoczonego pod NN. 34—35—36 apartamentu. Neutralny pokój pusty był — w przyległych rozlegało się mocne chrapanie Dziorobka i falcetowaty świst Gruszczyńskiego. Kalinowski postąpił parę kroków i usiadł w niezdecydowaniu. Rzeczą, która mu się przedewszystkiem rzuciła w oczy, była dobrze mu znana »Cholera« — studjum symboliczne, popełnione w natchnieniu przez jednego z przyjaciół Gruszczyńskiego — węglem na ścianie. Wstrętnie wymiotująca baba, oparta na nóżkach polnego konika, zwieszała się ze skały nad wioską, poniżej wymalowaną. Było w tem coś niezmiernie obrzydliwego, jakiś komizm epileptycznej natury. Dalej — po przez mgły tytoniowe, od wieczora nierozwiane, spostrzegł Kalinowski wypisane na piecu aforyzmy. I to znał. Aforyzm pierwszy opiewał: »Facecie! Daj się naciągnąć!« Drugi zaś na wysokości gzemsa zawierał myśl głębszą, niżby się zdawało: »Sztuka, to nie pomidory«. Kalinowski przypomniał tę chwilę ogromnej dysputy o sztuce, kiedy milczący Dziorobek powstał nagle i te słowa wypisał na ścianie. Dysputa natychmiast została uznana za wyczerpaną. Cały cykl wspomnień, jak wir obrazów, ogarnął Kalinowskiego na widok tych tak dobrze znanych rze-

czy. Bez ruchu i bez szelestu wciąż siedział na krześle w sinej atmosferze pokoju i wodził wzrokiem po ścianach. Z pokoju Gruszczyńskiego wyzierało nań świeżo ukończone malowidło. Było to coś prawdopodobnie symbolicznego: plan pierwszy obrazu przedstawiał potwornie spleciony kłąb członków ludzkich, powykrzywianych jakby w jakimś bolesnym kurczu. W głębi widać było jakąś ławę i mównicę, jakieś niskie pułapy i po nad tem wszystkiem — żółtą plamę z czerwonym ośrodkiem... Kalinowski uczuł rodzaj nieuzasadnionego wstrętu.

W tej chwili jednak głos Dziorobka przerwał jego kontemplację:

— Daj-no pan ognia, panie!

Kalinowski drgnął na razie.

— A... to pan nie śpi?

— Czuwam panie — rzekł rzeźbiarz, gramoląc się z łóżka po fajkę — czuwam i podziwiam skłonność pańską do indyjskiej filozofji.

Głośne poruszenie, które się rozległo w pokoju Gruszczyńskiego, zwiastowało, że muzyk również się obudził. I ujrzał niebawem Kalinowski tę samą, mocno rozczochraną, kędzierzawą głowę Gruszczyńskiego, ten sam paltot, pełniący czynność szlafroka i te same kalosze, bezczelnie zdeptane, które wdziewał artysta na bose nogi, zamiast pantofli.

— Któż tam po nocy chodzi? — wołał Gruszczyński — patrząc z poza pince-nez. — A to wy, Kalinowski! Napijecie się herbaty?...

Rozpoczęła się rozmowa o wszystkiem naraz. Kalinowski stawiał pytania, Gruszczyński odpowiadał, manipulując jednocześnie koło maszynki. Od czasu do czasu rozmowę przerywał stróż z serdelkami, praczka z bielizną lub model Dziorobka, który zresztą wkrótce wyniósł się do pracowni.

— Słyszałem, iż piszecie coś z filozofji — mówił Kalinowski.

Gruszczyński zwierzył się, iż istotnie rozpoczął cykl studjów w kwestji stałych jednostek psychicznych. Gruszczyński zawsze pisywał »cykle«.

— Nie wiem jeszcze co z tego będzie — ciągnął — temat rośnie pod ręką.

— Gdzie drukować będziecie?

— Myślę wydać oddzielną książkę: artykułów pisać nie warto Tom szkiców, to wali w łeb, a artykuły przemijają niespostrzeżone.

Kalinowski był przeciwnego zdania: należy budzić społeczeństwo, należy mu właśnie podawać rzeczy w formie przystępnej. — Gruszczyński się zaśmiał.

— Co mi tam społeczeństwo — nic a nic mnie nie obchodzi, czy panna X., albo pan Y. mnie zrozumieją.

Kalinowski się oburzył.

(C. d. n.) *Jerzy Grot.*

PIEŚNIARZ.

Obrazek z dziejów młodej Grecji.

Przez

Michała Wołowskiego.

(Ciąg dalszy).

— Ale nie lękaj się, to nie z twojego domu, Ocaliliśmy go przez wzgląd na ciebie. Hej! jest tam który? niechaj przyniesie obraz.

W tej chwili żołnierz wniósł obraz, o którym była mowa. Ali własnemi rękoma złote ramy od niego oderwał, a obraz na kobierzec rzucił.

Stataki jednak podjął go natychmiast i trzykrotnie się znów przeżegnał.

— Ale, ale — wołał dalej pasza — czemuż to, Stataki, nie mówiłeś nic o swojej córce? Śliczna! Jeżeli Allah takie daje w niebie swoim wyznawcom, to trzeba przyznać, że nie jest wcale zazdrośnym. Słuchaj, Stataki, przyprowadź mi ją.

Grek czoło namarszczył, oczy mu zabłyszczały, ale mimo tego nic nie zmieniło łagodno-słodkiego wyrazu jego twarzy.

— No, siadaj, Stataki, tutaj, blizko mnie, pogadamy przy winie; język się wtedy lepiej rozwiązuje. Hej, wina! Postawić obraz na boku!

Ali gwałtem prawie wtłoczył jeden z kubków do rąk Statakiemu i pić kazał.

Greckie wyznanie zabrania pijaństwa, tak jak Koran wina, mimo to jednak pił i Ali, i Stataki się upijał.

Z Alim nie było żartów; gdyby kazał przez kij skakać, Stataki byłby także go usłuchał.

Pił też fanarjota; oczy stawały się mu coraz czerwieńsze, a w głowie kręcić się poczynało.

Ali był w dobrym humorze.

— Cóż ty, baranie grecki, myślisz sobie — wołał w łasce nieprzebranej do Statakiego, który się ciągle uśmiechał — cóż to myślisz, że ja jestem niczem? Oho, jak zechcę to i padyszach przedemną na kolana upadnie, jestem spadkobiercą wszystkich zabitych; wszystko co jest na świecie do mnie należy, nikogo się nie boję.

Stataki ciągle kiwał głową.

— Twoja Emina jest piękną, podoba mi się, chcę, ażeby została moją żoną; żoną paszy Janiny, Tewelinu i Pargi. Rozumiesz?

Stataki znów kiwnął głową, ale tym razem nie odpowiedział.

Ali kazał mu dla rozwiązania języka dolać znów wina do kubka i wołał dalej:

— No, gadajże, mów! cóż, milczysz jak skała? Chcę Eminy, rozumiesz?

Stataki zdobył się wreszcie na odpowiedź:

— Emina nie wyznaje zasad wielkiego proroka.

— Głupstwo; cóż ty, grecki baranie, myślisz, że ja je wyznaję? że nie szanuję waszego Boga? to dobre dla Dywanu, Wielkiego Wezyra, ale nie

dla mnie. Przy twojej Eminie to i ja mogę zostać takim, jak ty, nabożnym fanarjotą

Twarz Greka wypogodziła się w tej chwili. Tu Ali pociągnął potężny haust wina z kubka, który trzymał w ręce.

Stataki nie śmiał tego uczynić: niósł już wprawdzie kielich do ust, ale w połowie drogi go zatrzymał.

— Pijże, psie chrześcijański, bo ci w gardło wlać każę! — wrzasnął Ali.

Stataki się znów przeżegnał, spojrzał na baszę, na dziką twarz jego, na rękę, bawiącą się rękojeścią sztyletu, i pot na czoło mu wystąpił; potem oczy zwrócił na obraz, jakby od niego przebaczenia wzywał, kubek do ust podniósł i do kropli go wysączył.

— Widzisz, jaki ja dla ciebie jestem przychylny; no cóż? Oddasz mi Eminę?

Ale stataki już mówić nie mógł, nie miał siły, bełkotał tylko coś językiem i zwalił się u nóg Alego.

Ali ceremonji sobie nie robił; kopnął nogą ciało pijanego Greka tak, aż się zatoczyło, i zawołał do pijatyki innych.

— Na Sulje! — wrzeszczał — rozumiecie? zniszczę ich, zmiażdżę, kamienia na kamieniu nie zostawię!...

I rozpoczęła się orgja straszna, wyuzdana, trwająca dopóty, dopóki Ali sam pić był w stanie. I on w końcu upadł na przepyszny perski kobierzec, bełkotał niewyraźne słowa. aż zasnął.

Gdy basza pił, nikt nie śmiał go do upamiętania przyprowadzić, a ktoby próbował, musiałby się niezawodnie spotkać z ostro zakończonym palem.

I spał basza Janiny, śniąc o mordach, jakie gotował Suljotom, o rozkoszach, jakie go czekały w objęciach Eminy, gdy naraz obiło się o jego uszy wołanie:

— Poseł od potężnego padyszacha.

Ali napół senne oczy otworzył, zrozumiał jednak wielkie to słowo i, choć na nogach ledwie się trzymał, posła wpuścić rozkazał.

Ali miał wszystkich oddanych sobie żołdaków, miljony piastrów w skarbcu, nie bardzo się też obawiał tego, co mu poseł od jego pana przyniesie.

Przychylność Dywanu za złoto okupywał, mógłby siłą i z panem samym poigrać, ale wiedział, że Anglicy i Francuzi niedaleko. Słyszał, że i oni na niego za swoje krzywdy się srożą; o stworzeniu własnego państwa myślał: na początek zrywać ze wszystkiemi i nieuszanowanie posłannikowi padyszacha okazywać teraz byłoby niebezpieczną rzeczą. Choć jeszcze pijany, zawój na głowie poprawił, brodę pogładził, wyprostował się dumnie i posła do Konaku prowadzić kazał.

A Konak był to wspaniały, tak wspaniały, że gdyby go był sam padyszach zobaczył, Ali nie mógłby się w nim długo utrzymać, bo samemu sułtanowi chciałoby się mieć tak piękne mieszkanie, tak cudne kobierce.

Ten, co wszedł do Konaku, był starcem o siwej brodzie, wyniosłej postaci i surowy miał wyraz twarzy.

— Tyś Ali Teleben, Wali Zade, pasza Janiny? — spytał.

Ali wyprostował się dumnie i równie dumnie odparł:

— Tak, ja nim jestem.

— Oto, co ci przynoszę od najpotężniejszego władcy: »serce jego zamknięte na twój głos, ziarnko grochu zatkało uszy jego, głos stanął między nim, a tobą, czas straszliwy dla zbrodniarza. W dniu przeznaczonym wypuścimy na ciebie wiatr gwałtowny, ludzie padać będą jak palmy z wydartemi korzeniami, przeklęci na ziemi w dniu zmartwychwstania« *).

Gdy Mufty te słowa Koranu wymawiał, Ali giął się pod ich brzmieniem, ale czarne swe oczy w górę podnosił i błyskał niemi niby zarzewiem.

Mufty ciągnął dalej:

— Najpotężniejszy padyszach i władca kazał ci u stóp swoich złożyć wszystkie skarby twoje, bo grzeszysz myślą wyniosłą. Czy słyszysz?

— Słyszę, ale drwię sobie z waszych rozkazów, nie słucham ich, słuchać nie chcę. Przy Kandji są Anglicy; poszlę im worek złota i ochronią mnie przed waszą klątwą. Zresztą nic zgrzeszyłem niczem, przekonaj się; ja kocham padyszacha i wielkiego wezyra, tyle im już worków złota posłałem i tobie, Mufto, dam to na drogę; nie zgrzeszyłem niczem, a z Janiny nie ustąpię, bo ona moją.

— Machmud nakazuje, abyś ustąpił. Abyś oddał to, coś ukradł z jego ręki i co jest nieprawem; zapozywa cię przed sąd wiernych, a grom ich szybki jest. Powiedziałem już wszystko, a jeżeli nie słuchasz, przyjdzie ze mną tutaj chmara żołnierzy i kara cię wielka spotka.

— Milcz — wrzasnął Ali. — Nie chcę słuchać twego przekleństwa. Język bodaj ci skołowaciał z twoją świętością i skołowacieje niezawodnie. Precz!... albo nie. — Tu Ali schylił się do ręki przybyłego i proszącym głosem szeptał: — Wstaw się i ty za mną, powiedz najpotężniejszemu Machmudowi, że ja żadnych złych myśli nie miałem i nie mam, że kocham jak syn wierny, tylko niech mnie ztąd nie rusza. Ztąd, gdzie jestem dóbr wszystkich właścicielem; dam mu od tego wszystkiego duży procent; idź, powiedz.

Mufty hat sułtański położył na kobiercu i, nic nie odrzekłszy, wyszedł.

Szatański prawie uśmiech wydobył się z piersi Alego. Sztylet tak w ręku ścisnął, że aż główka jego rozprysnęła się na drobne kawałki, odrzucił go od siebie i wrzasnął:

---

*) Historyczne.

— Nie mnie czytać słowa Koranu, nie mnie grozić! ja groźb się nie lękam żadnych, gardzę niemi i umiem się przed niemi ochronić. Nie dla Alego groźby, nie dla Alego strach! Hej, zawołać mi tam, niech się tu zjawi Stataki!

— Zaraz — ozwał się głos jakiś z kąta.

Ali Teleben się zatrzymał i spojrzał, zkąd głos ten wychodził. W rogu izby ujrzał bladego młodzieńca, który wraz z Muftą do Konaku był wszedł i przekleństw wysłuchał.

Ali spojrzał bystro na tego niespodziewanego gościa i czekać się zdawał na dalsze jego słowa.

— Zaraz — powtórzył młodzieniec. — Mufty twojego padyszacha powiedział ci jedno, ja powiem drugie. On rzucił przekleństwo i groźby od tych, którzy tobą rządzą, ja mam powiedzieć słowo od tych, których ty na pal wbijasz i których ty rznąć każesz. C. d. n.

„PROSNA“

(Jednodniówka kaliska).

Celem zasilenia funduszów miejscowego Towarzystwa dobroczynności, w gustownej i eleganckiej szacie puścił w świat Kalisz jednodniówkę p. t. »Prosna«.

Wzorem innych wydawnictw tego rodzaju, jednodniówkę cechuje przedewszystkiem różnobarwność, zarówno pod względem tematów, wartości myśli i artystycznej formy, jak i pod względem postaci, w jaką przyoblekła się twórczość autorów, kierowana szlachetnym celem. Od aforyzmu do poważnej rozprawy, od fraszki do ustępu z tragedji znaleść można w »Prośnie« wszystkie niemal istniejące w literaturze rodzaje. Wyodrębiającą cechą jednodniówki kaliskiej stanowi nader obficie stosunkowo reprezentowana poezja.

Na pierwszych zaraz jej kartach rzuca p. Bogumił Aspis gorzkie zapytanie odwiecznemu wrogowi poetów:

Nad kim się znęcasz, bezduszny ty tłumie?
O czyje piersi tępisz wilcze kły?
Że płaszczem smutku przyodzian, w zadumie
Nad nędzą życia, twój bard w bólu drży?
Że, zapatrzony w podniebnej szczyt góry,
Gdzie Muzy gwarzą z ślicznym bogiem swym,
Płacąc ci dobrem za złość i tortury,
Modlitwę za cię składa w cichy rym?

P. Michał Bałucki, p. Walerja Marrené, p. St. Kempner i wielu innych pośpieszyli z aforyzmami.

Następnie bajka p. t. »Pijawka i żmija«, naśladowana z hiszpańskiego podług jednej z 75 »bajek literackich« Don Tomasza Irarda przez p. Zofię Chrzanowską:

...Miła pijawko.. Powiedz mi przyczynę,
Dlaczego niejednako cierpimy za winę?
Wszakże przecie my obie ssiemy krew człowieka,
Dlaczego ciebie szuka — odemnie ucieka?
Dlaczego — pijawka skromnie jej odpowie —
Mnie on pragnie, a ciebie jadowitą zowie?
Bo ja, choć niepozorna, uzdrawiam chorego,
Ty swoim jadem zabijasz zdrowego
Tak samo i krytyka: słuszna, sprawiedliwa
Wskazuje wady, zalety wykrywa,
Zjadliwa, jakby pałką na oślep wywija,
Niczego nie nauczy, a zapał zabija.

Dalej sonet El...y'ego.

Krążące globy, złotych gwiazd kagańce,
Te wirujące istnień zbiorowiska,
Iskry z jednego rozsiane ogniska,
Ten cały wszechświat, za którego krańce

Nie możem sięgnąć przygodni mieszkańce,
W nieskończoności bezdeń bez nazwiska,
Wzrósłszy, podobni wirującej bańce,
Która na fali tęczuje... i pryska.

Niesie go z sobą tajemnicza fala,
Co, po za bytem będąc, byt okala,
I wszystko z łona swego wyprowadza,

I nowe słońca w przestworzach zapala...
Gdy nią poruszy kierująca władza,
Co byt na głębiach nicestwa osadza.

Konopnicka złożyła w ofierze „Prośnie“ jeden z urywków z cyklu »Italia«.

P. A. Lange zasilił jednodniówkę dłuższym utworem p. t. „Zachód słońca“, który w końcowych swych strofach brzmi, jak następuje:

Bladła zwolna tarcza słońca,
Aż dukatem złotym błysła;
Bladła zwolna twarz miesiąca,
Aż talarem srebrnym zwisła.

I powoli miesiąc wschodzi
Coraz wyżej na szafiry;
I powoli słońce schodzi
W niewiadomej nocy kiry.

I żegnały się powoli,
Jak w siostrzanych uściśnieniach,
Dzień — w upojeń aureoli,
Noc — w promieniach i marzeniach.

I żegnały się powoli,
Jak dwa duchy promieniste,
Nieprzerwanej złotej doli
Dobre prządki wiekuiste!

Gdybyż zawsze się spływały
Zachód słońca — wschód księżyca...
Gdybyż serca nie zaznały,
Czem niedoli jest krwawica.

P. Józef Przyborowski daje ładną legendę p. t. »Psi chleb«, w którą lud ukraiński ujął historję utraconego raju.

Był czas, kiedy ziemia tak nie skąpiła człowiekowi swych darów, że nawet kłosy nie, jak dziś na końcach wydawały ziarno, lecz oblepione niem były od samej ziemi. Świat opływał w szczęście i dostatek, lecz mimo to nie umiał wstrzymać się od grzechu. Gdy Pan Bóg zstąpił na ziemię, wpadł w gniew srogi.

Dla dania widomego znaku swej niełaski, uchwycił Pan Bóg łodygę zboża przy samej ziemi i zaczął osmukiwać ziarno, przykazując zbożu, aby odtąd nie wydawało ziarna, ale rodziło taką czczą słomę, jaka pozostanie po przemknięciu Jego wszechmocnej ręki.

Kiedy już ręka Wszechmocnego dochodziła do wierzchołka słomy, zawył pies, przypatrujący się objawowi gniewu Pańskiego, i począł żałośnym głosem błagać o litość nad temi stworzeniami, które mniej zawiniły od człowieka.

Ulitował się Pan biednego stworzenia i pozostawił dla niego ziarno w górnej części słomy, a odtąd łodygi zboża tylko wierzchołki mają okryte ziarnem, które kłosami zowiemy. Człowiek dziś żyje tem, co Pan Bóg w swej litości dla psa pozostawił, i dlatego dziś spożywa psi chleb.

Kornel Ujejski, który tak rzadko się już odzywa, dostarczył jednakże kaliskiej jednodniówce w imię szlachetnego jej celu czterowiersz p. t. »W albumie«.

Na wirującym tym ciemnym okruchu
Ten śmierć zwycięży, kto urośnie w duchu,
Wiarą w ideał swą dolę ozłoci,
Z gorzkich zawodów wyssie miód dobroci.

Przytoczone tu urywki nie wyczerpują, rzecz prosta, całej treści kaliskiej jednodniówki; z konieczności pominąć trzeba było milczeniem wiele utworów, którychby pomijać nie należało! Nie trudno jednak uzupełnić braki w sposób, za który wdzięcznem będzie kaliskie towarzystwo dobroczynności i pozostający pod opieką jego biedni.

Przegląd pism.

Bibljoteka warszawska 1895. Czerwiec, Lipiec i Sierpień.

Czerwcowy zeszyt »Bibljoteki« przyniósł nam dalszy ciąg »Pamiętnika Kossakowskiego«. »Przegląd współczesnej naszej sztuki« pióra K. M. Górskiego, zawiera obszerne sprawozdanie z pałacu sztuki zeszłorocznej naszej wystawy.

»Dzisiejsza poezja włoska« H. Ojettiego rozpoczyna, jak zapowiada redakcja omawianego miesięcznika, szereg artykułów o literaturze włoskiej przez powszechnie cenionego we Włoszech znawcę tej literatury. Krótki szkic usprawiedliwia zdanie wyrzeczone przez autora na wstępie, to mianowicie, że »we Włoszech objawia się życie poetyckie w całej sile i oryginalności, że »Włosi, nietylko liczbą poetów, ale i siłą i rozmaitością motywów poetyckich dowodzą niezaprzeczonej wyższości« nad współczesnymi Francuzami i Anglikami.

P. Wł. M. Kozłowski w sumiennie opracowanym artykule (zeszyt lipcowy) p. t. »Następcy Darwina i losy darwinizmu« zamierzył z okazji wydania nowego pośmiertnego dzieła znanego i uczonego przeciwnika Darwina — Quatrefages'a o transformizmie, zaznajomić czytelników z przeobrażeniami, jakim uległy poglądy Darwina w ręku jego najbliższych uczniów i zwolenników.

Dziś, powiada autor, krytyka wykazała, iż transformizm jest więcej wynikiem pewnego poglądu na świat, aniżeli badań w zakresie ściśle naukowym. Ale ten pogląd na świat miał doniosłe znaczenie dla rozwoju bjologji i pośrednio innych nauk, a jeśli darwinizm dziś wywiera po części ujemny wpływ w zakresie naukowym, to wpływ ten polega na pewnem wyczerpaniu jego żywotności, na potrzebie nowych pobudek i nowych dróg, a ta potrzeba rodzi wspomniane już poczucie niezadowolenia... Kierunek, wytknięty przez Darwina, zaczyna jałowieć; badania wyradzają się w małostkowe poszukiwania domniemanych genealogji i pokrewieństw. Cała dziedzina bjologji czeka tylko na nowego reformatora, aby z jednostronności transformizmu przerzucić się w inną, może również jednostronną doktrynę, która jednak zapewne, jak i pierwsza, nie okaże się bezowocną dla postępu wiedzy«.

Rozpoczęty w tymże zeszycie A. Darowskiego szkic historyczny z XVII. w. p. t. »Jeniec Malborski« zawiera na tle niewoli metropolity moskiewskiego Filareta (ojca cara Michała, protoplasty dynastji Romanowów) i bojara Wasyla Golicyna, szkic z historji polsko-moskiewskich stosunków w XVII. w.

p.

PRO MEMORIA.

8. października 1863. Ksiądz Mackiewicz stoczył bitwę w kajzerligowskim lesie.

10. października 1794. klęska pod Maciejowicami.

10. października 1861. Manifestacja narodowa z powodu pogrzebu arcybiskupa Antoniego Fijałkowskiego.

10. października 1861. Obchód manifestacyjny Unji Horodelskiej pod Horodłem, w którym to obchodzie wzięło udział kilkanaście tysięcy osób, a w powietrzu powiewały sztandary z herbami wszystkich ziem polskich.

12. października 1815. Kraków z obwodem (3 miasta i 244 wsie), ogłoszony został na mocy traktatu wiedeńskiego wolnem miastem z tytułem Rzeczypospolitej krakowskiej. Rzeczpospolita liczyła 140 tysięcy mieszkańców, a rząd jej składał się z 12 senatorów i prezesa.

14. października 1809. Zawarto pokój w Wiedniu, na mocy którego przyłączono do Księstwa Warszawskiego Galicję Zachodnią.

14. października 1861. Namiestnik Królestwa hr. Lambert ogłosił stan oblężenia w Warszawie i całem Królestwie.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie